ROK VI. CHICAGO, dnia 8go LISTOPADA, 1888. No. 45



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1.50. Przedpłata musi być naprzód opłacona. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: / All comunications must be adressed: W. Smulski, 635 Noble st, Chicago.

Entered at the post office of Chicago, Ill. as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Swięty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

CHICAGO, dn. 3go Stycznie R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagoski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 8 listopada.	4 braci Koronatów mn.	Sędziwój
Piątek, 9 listopada.	25-ta po ... Teodora m.	Bogodar.
Sobota, 10 listopada.	Andrzeja z Awelinu w.	Ludomir.
Niedziela, 11 listopada.	Marcina biskupa.	Spitosław.
Poniedziałek, 12 listopada.	Jó efata, Op. MB.	Nowosław.
Wtorek, 13 listopada.	Homobona wyz.	Wszerad.
Sroda, 14 listopada.	Jukunda i Wawrzyńca w.	Wodzimir.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ XXV tą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Mateusza w rozdz. XIII.

Onego czasu: rzekł Jezus rzeszy to podobieństwo: Podobne się stało królestwo niebieskie Człowiekowi, który posiał dobre nasienie na roli swojej. A gdy ludzie spali, przyszedł nieprzyjaciel jego, i nasiał kąkolu między pszenicą, i odszedł. A gdy urosła trawa i owoc uczyniła, tedy się pokazał i kąkol. A przystąpiwszy słudzy gos odarscy, rzekli mu: Panie iżaliś nie posiał dobrego nasienia na roli twojej? Zkądże tedy kąkol ma? I rzekł im: Nieprzyjazny człowiek to uczynił. A słudzy rzekli mu: Chcesz, pójdziemy i zbierzemy go? I rzekł: Nie. Byście snadź zbierając kąkol, nie wykorzenili razem z nim i pszenicy. Pozwólcie obojgu rość aż do żniwa, a czasu żniwa rzekę żeńcom: Zbierzcie pierwej kąkol, a zwiążcie go w snopki ku spaleniu, a pszenicę zgromadźcie do gumna mojego.

Mniemany żebrak.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

I.

W jednej z najustronniejszych okolic Zachodniej Francyi znajduje się wioska mało znana i zwiedzana. Chociaż gościniec przechodzi nie daleko, samaż osada tak dobrze się kryje w dolinie, a raczej jarze głębokim, iż przejezdni dostrzedz jej wcale nie mogą. Wioska ta zowie się Zalesiem, i słuszne to miano, albowiem cała okolica wyjątkowo leśne zachowała cechy. Nie brak wszakże ziemi uprawnej, atoli każde nieomal pole otoczone jest wysokim jak palisada żywopłotem, na miedzach zaś siedzą olbrzymie dęby, nadające tym stronom pozory jednego, wielkiego boru. Mimo tego, wioska nasza posiada dostatek światła i słońce. Rozrzucone chatki bielą się wśród ogródków dostarczających mieszkańcom owoców i warzywa. Jedne wznoszą się w głębi dolinki, inne uczepiły się stoku pagórka, nadawając całej osadzie wiele malowniczości.

Opowiadanie nasze rozpoczyna się w dniu 2-go Maja 1842, — późna w tych stronach wiosna, pierwszemi promieniami cieplejszego słońca rozweselała okolicę. Blaski zachodu igrały w szybach, złociły dachy, a nową krasą stroiły ogródki, drgały w samotnem powietrzu wesołością i życiem. Dzieci bawiły się gwarnie przed domkami, zdala odzywały się szczekania psów, ryki wracającego do zagród bydełka. Kobiety uwijały się przy pracy, bądź w ogrodach, bądź w izbach na oścież otwartych. Świąteczne pozory uderzały mianowicie w chacie położonej na kresie osady, która osobną wabiła czystością i porządkiem.

Domek to był ślicznie wybielony, osłonięty pnącym winogradem, na oknie stały doniczki z kwiatami, w progu drzemał bury kotek, grzejący się na słońcu. Wewnątrz chaty nie mniejszy ład panował. Nigdzie ziarnka ani trawy, wszystko błyszczało czystością. Na ścianach święte obrazy, łóżka starannie posłane, półki dźwigały całe rzędy jaskrawo po-

malowanych talerzy i świecących łyżek i widelcy. Zastawione na ognisku garnki, kipiały roznosząc woń przedziwną. Na stole zaś czysty obrus i zastawa dowodziły, iż się w domu tym wkrótce miłych spodziewano gości.

Jakoś sama gospodyni kręciła się po izbie, uzupełniając przygotowania. Choć już nie młoda a wdowią powagą obleczona, zachowała jeszcze w oczach blask młodzieńczy i rysy twarzy o dawnej świadczyły urodzie. Ale na obliczu wyryły się i ślady przebytych cierpień, życia pracy, strat serdecznych, trosk i smutków przebolałych. Na stole obok rozwartej książki do nabożeństwa, leżał różaniec, teraz jednak Jakóbowa, tak ją bowiem zwano we wsi, nie modliła się ani chwytała za leżącą opodal kądziel, lecz na przemian to doglądała ogniska, to znów wybiegała przed chatę, jakby wyglądała kogoś niecierpliwie.

— Jakże się dziś spóźnia! z westchnieniem powtarzała, i znów jakoby dla własnego uspokojenia dodawała: — Ależ ztąd do miasta daleko, a dziś zupełny upał.

Wtem psy zaszczekały na wsi, a wraz odezwały się chórem wesołe dziecięce okrzyki..

Jakóbowa od razu odgadła powód tej wrzawy. Młodzieniec ubrany po wojskowemu, w mundurze piechoty liniowej, ukazał się u wstępu do wioski.

Sliczny to był chłopak, o znużonym wyrazie twarzy i pełnem łagodności spojrzeniu. Mimo dowodów długiej wędrówki zostawionych na zakurzonem obuwiu i mundurze kroczył naprzód pospiesznie i żwawo.

Z każdej chaty słano ku niemu wyrazy miłego i radosnego powitania. Dziatki przelotną zbywał pieszczotą, ale się nie zatrzymywał, lecz niemal biegnął ku rozpoznanej już zdala matce.

— Mój Wawrzynku! — zawołała Jakóbowa, obejmując żołnierza w macierzyńskim uścisku. Wracasz więc nareszcie!

— Tak jest matusiu, ale nie witajcie tak, nie całujcie, bom gotów się popłakać jak głupi.

Jakoż, ukradkiem łzę rękawem ocierając, wciągnął matkę do izby.

II.

Nim jej przyszło zamieszkać w tej ubogiej chatce, Maryanna Nowak, powszechnie Jakóbową zwana, lepszych zaznała czasów. Rodzice jej posiadali piękne w sąsiedztwie gospodarstwo i uchodzili za majętnych ludzi. W ośmnastym roku życia Maryanna zaślubiła podobnież bogatego gospodarza, i w pierwszych latach małżeńskiego życia, samych zakosztowała powodzeń. Dwa tęgie dzieciaki, dwa chłopcy rozwesalały domek młodej pary. Mąż był poczciwy, pracowity, żonę kochał, gospodarstwa doglądał i uchodził za doskonałego rolnika. Wszystko zdawało się młodemu stadłu upewnić długi szereg lat szczęśliwych, gdy Opatrzność coraz cięższemi ciosy jęła ich próbować.

Najprzód nastąpiły po sobie lata nieurodzajne, zaraza padła na dobytek, grad wybił zboże. Z dawnego dostatku nic się nie ostało, i bieda zaglądała oknem. Jakób podwajał trudy i czynności, aż tu pewnego razu, gdy nieco lepsze zapowiadały się żniwa, spadł z woza naładowanego zbożem tak nieszczęśliwie, iż zabił się na miejscu. Nastąpiły bardzo ciężkie chwile. Wdowa zmuszoną została w znacznej części sprzedać gospodarstwo, sama ze sierotami swojemi zamieszkała w szczupłej chatce położonej na kresie wioski Zalesia. Chata owa, przylegający ogródek, oraz kawałek gruntu, oto wszystko, co jej z dawniejszych zbytków pozostało. Zaczęło się wtedy dla niej życie pełne umartwień, gdyby nie pomoc braci swoich, ludzi poczciwych i majętnych, byłaby nieraz zakosztowała głodu i chłodu. Ale choć bracia nieraz dla ulżenia jej ciężaru chcieli wziąść do siebie na wychowanie którego z jej chłopców, nigdy się z nimi rozłączyć nie chciała. Pieszczotami osładzali oni smutne życie biednej wdowy dopóki byli mali. Podrosłszy nieco, wcześnie pracą rąk własnych użyzniali jej szczupłe dziedzictwo i zwiększali dochody. Skoro najstarszy szesnasty rok skończył, udało mu się pracą i zabiegliwością wrócić matce, jeśli nie dawny dostatek to przynajmniej spokojne i wygodne życie.

Jakóbowa słusznie dumną być mogła z swych synów. Takie to były dzielne, poczciwe chłopcy, tak umieli matkę

szanować i miłością ją otaczać. Starszy Maciej, istnym był ojca obrazem. Tak samo posuwał uczciwość, pracowitość, prawość, aż do najwyższego stopnia i granicy. Wstawał wcześniej od innych, kładł się ostatni, i robił za dwóch przez dzień cały. Wawrzyn weselszego był usposobienia, większych może zdolności, a nie mniej kochał matkę. Do pracy może nie tyle miał ochoty i zapału co Maciej, i kto wie, ażali nie byłby się rozhulał za młodu, gdyby nie zbawienne jarzmo obowiązku i ubóstwa. Kto wie nawet, czy lata służby wojskowej nie byłyby mu się uśmiechały po trochu, gdyby nie miłość matki i boleść rozłączenia.

Widok jej łez, gdy go brano do wojska, wyrył się w sercu młodzieńca. Dla Jakóbowej była to najcięższa próba odkąd zabliźniły się dawniejsze rany, długo też nie mogła się oswoić z niebecnością swego Benjamina. To też gdy przed kilkoma dniami nadszedł list oznajmujący jej, że batalion Wawrzyńca przechodzi opodal od Zalesia, — że zdawało mu się kilkudniowy uzyskać urlop, radość jej nie znała miary. Od tej chwili krzątała się ustawicznie, aby mu zgotować jak najlepsze przyjęcie, i nie spoczęła, dopóki nie przycisnęła go do macierzyńskiego łona. G ly syn ochłodził się szklanką piwa, którą mu nalała drżącą od wzruszenia ręką, usiadła przy oknie, a Wawrzyn zajął miejsce u jej nóg. Długo tak ani mówić nie mogli, ciesząc się wzajemnie. Wawrzyn pierwszy przerwał milczenie:

— Matusiu, — odezwał się z czułym wyrzutem, to nie dobrze tak się gorączkować. Całaś blada i drżąca, a przecież od wczoraj wiesz, że przybędę.

— Otrzymałam list na czas, jeśli dziś płaczę, to z radości, a podobne łzy nie trują. Lepiej mówmy o tobie chłopcze. Czyś nie bardzo nieszczęśliwy w wojsku? Czy ci nie zbyt dokuczają?

— Ktoby miał dokuczać? — zaśmiał się wesoło Wawrzyn. — Owszem, nie źle mi w mundurze, bodaj na żołnierza byłem stworzony, albo mizernie wyglądam?

— Nie, mój synu, — odparła matka, patrząc z radością na dorodnego młodzieńca. Zdrowie tryska ci z oczu.

— Nicby mi nie brakło, gdyby nie rozłączenie z wami. Jakże zazdroszczę szczęściu tych z moich towarzyszów, którzy w pobliżu mając rodziców, często ich odwiedzają!

— Nie długo ta próba! — cieszyła go matka.

— Jeszcze dwa lata! — westchnął Wawrzyn.

— Za łaską Bożą, czas ten prędko minie, prędzej bodaj tobie, aniżeli mnie, — mówiła dalej Jakóbowa.

— Zresztą, wystaram się o niejeden urlop!

Ze zwykłą żywością do innego przechodząc przedmiotu, spytał Wawrzyn:

— Wyglądaliście mnie matko? prawda,że się spóźniłem?

— Istotnie, myślałam, iż rychlej nadejdziesz.

— Musiałem się po biórach włóczyć dla uregulowania mego dzisiejszego pozwolenia. Ale nie będziecie na tem stratni, bo mi o jeden dzień przedłużono urlop.

— Jakto? więc nie odejdziesz jutro? — zawołała matka z radością.

— Dopiero pojutrze wieczorem. Pójdę nocką, aby czasu nie stracić.

I tak rozmowa ciągnęła się dalej między matką a synem, przerywana pieszczotami. Gdy jednak słońce zniknęło z widnokręgu, Wawrzyn spojrzał na zegar wiszący na ścianie.

— Znajdujesz, że brata długo nie widać? — spytała Jakóbowa. —Nie, matko, wszak że teraz czas największej roboty.

— Jeśli go dotąd niema, zapewne odprowadził pożyczone mu konie sąsiadów naszych, starych Piotrowskich.

— Nie jemu do mnie się spieszyć, raczej mnie wypada na jego wybiedz spotkanie, gdyby mnie tu serce nie więziło przy matusi.

— Idź-że, Wawrzynku, na przeciwko bratu, — rzekła powstając matka. — Już cię dosyć użyłam, a Maciej tak cię kocha, tyle na ciebie się cieszy, taki dobry dla mnie.

— Za dwóch kochać cię musi, teraz co mnie tu nie ma matusiu. Wszak mi to przyrzekł przy rozstaniu.

Odprowadziła go matka do furtki ogrodu, a uchylając ją rzekła: — Idź że, mój chłopcze, ale wracajcie spiesznie razem. Wieczerza za chwilę będzie gotową. C. d. n.

Zamek Lanckoroński w obwodzie Wadowickim.

(Ciąg dalszy.)

Zamek Lanckoroński pod panowaniem rządu austryackiego. Opryszki. Po pierwszym rozbiorze Polski r. 1772 Lanckorona dostała się pod panowanie austryackie. Austryacy zająwszy zamek obrócili go na więzienie dla opryszków czyli rozbójników. Nie byli oni początkowo rozbójnikami z rzemiosła, byli to raczej poczciwi i pracowici górale ukrywający się przed rekrutacyą, lecz za czasem z potrzeby i konieczności stali się opryszkami. Rzecz tak się miała:

Rząd austryacki zaraz po pierwszym rozbiorze, zająwszy Galicyę, dla uregulowania wojsk swoich, rozpoczął również rekrutacyę w zajętej prowincyi. Okoliczności także wymagały, aby powiększono siłę zbrojną dla utrzymania porządku i spokoju w nowo nabytym kraju, gdzie jeszcze mnóstwo było burzliwych żywiołów, ztąd pomnożenie wojsk niezbędnie było potrzebnem. Rekrutacya atoli podówczas wszędzie, w najucywilizowańszych nawet krajach, przejmowała mieszkańców strachem panicznym, tem więcej w Polsce, a mianowicie w górach Karpackich, gdzie lud był całkiem wolny, i ani mu się śniło kiedy zaciągać się w szeregi jakichkolwiek wojsk, gdyż według systemu polskiego rządu, jedynie tylko szlachta zaciągała się w szeregi wojskowe, lud zaś wiejski zostawiony był przy roli w domu.

Otóż to ztąd pochodził ten postrach, to zamieszanie ogólne między ludem. — Dla górala Karpackiego, podhale i jego ulubione góry, to raj ziemski, po za obrębem których nie zna innego raju, innych uciech i innego szczęścia. Zaprowadźmy górala do najpiękniejszego miasta,osadźmy go w najwspanialszym pałacu, raczmy go najwyborniejszemi potrawami i napojami, ubierzmy go w złote szaty, to przecież pomimo największych wygód, tęsknić będzie za swemi górami i długo w mieście nie posiedzi. Jemu lepiej smakuje placek owsiany, aniżeli pańskie przysmaki; zgrabniej i wygodniej mu chodzić w kirpcach, i krótkiej gunce, aniżeli w

jedwabnych i atłasowych modnych sukniach. Woli on sobie sam zagrać na fujarce, i hasać z juhasami po górach za owcami, aniżeli słuchać melodyjnej muzyki miejskiej, na której się całkiem nie rozumie; słowem: góral Karpacki przesiedlony w obce kraje, z tęsknoty za swemi górami więdnieje i usycha.

Na dowód tego twierdzenia przytoczę przykład: Jeden z naszych księży zaraz po wyświęceniu posłanym był do gór na Wikarego. Po kilku latach dostał się na kapelana do wojska, ztamtąd wybrał się na krótki czas do swojej Dyecezyi w interesach familijnych, i przy tej sposobności odwiedził swoich poczciwych górali, których przedtem był dusz pasterzem. Wracając do pułku wziął z sobą placek owsiany (przez górali moskalem zwany,) by go pokazać oficerom (przełożonym wojskowym) i przekonać ich zarazem naocznie, jak lichym i nędznym pokarmem zasila się lud górski galicyjski a przecież dostarcza wojsku tak czerstwych, zdrowych, silnych i pięknych młodzieńców, których sami podziwiają. Zaledwo przybył na swoją stacyę, a jużci wołają go do chorego żołnierza, by go zaopatrzył Sakramentami śś. i przygotował na podróż do wieczności. Tym chorym był żołnierz góral z okolicy Nowotarskiej. Po dopełnieniu obowiązków swoich, zatrzymuje się kapłan i pyta chorego: Przyjacielu! powiedzno co ci się stało? z czego zachorowałeś? czy w chorobie masz opiekę? czy ci lekarze przepisali lekarstwa? i czyli je zażywasz? Odpowiada na to żołnierz-góral: Ej Dobrodzieju! taj zapisali, i dają jakieś chlapy, ale to takie gorzkie i złe jak bies, i to nic nie pomaga. Ot gdyby mi tak dali moskala (placek owsiany góralski), to by mi się lepiej po nim zrobiło. A gdybym ci go dał, rzecze kapłan? Ej dobrodzieju! cy zartujecie? cy ze mnie kpicie? a zkądbyście go tu wzięli? chyba by z nieba spadł? — Nie, przyjacielu! jako kapłan i ojciec twój duchowny zaręczam ci, że ci go przyniosę i doręczę, jeżeli chcesz i przeczuwasz, że ci to na zdrowie posłuży... A kiedy tak, to go przynieście dobrodzieju, odrzekł żołnierz góral. Na żądanie tedy żołnierza przyniósł ksiądz moskala.

Zoczywszy ów żołnierz góral dawno niewidzianego moskala, zerwał się nagle z posłania, objął go oboma rękami — tuż z wielkiej radości i uciechy, począł go ściskać, całować i pieścić się z nim, jak się pieści matka z dziecięciem. Jakoż w rzeczy samej wkrótce przyszedł do zdrowia.

Wracając do rzeczy, czynię ten wniosek: skoro w dzisiejszych czasach, kiedy cywilizacya zachodnia wszędzie nawet w krainie podtatrzańskiej silne korzenie zapuściła; przecież pomimo to górale nasi podtatrzańscy, nie bardzo są pochopni do opuszczenia swych skromnych siedzib, i wolą raczej głód i biedę cierpieć, aniżeli w obcych, ucywilizowanych i bogatych krajach używać uciech i rozkoszy ziemskich; cóż dopiero mówić o góralach przedwiekowych? Gdzie któremu góralowi chciałoby się podówczas puszczać w obce kraje, porzucać swoje ulubione góry, kozy, owce, szałase, baców i fujarki, co tak mile przygrywały, i tak silnie przemawiały do jego poetycznej duszy, a jeszcze do tego iść na wojnę (do wojska), wdzierać na się ciasne i opięte mundury, dźwigać karabin i przybory wojenne, uczyć się mustry w mowie mu niezrozumiałej! A więc taka młodzież nie skrępowana dotąd żadnemi węzłami społeczeństwa, na wieść: że na wojnę biorą, i do tego odsełają tam gdzieś po za jego góry i lasy, i każą żyć pod innem niebem, oddychać innem powietrzem; ta mówię młodzież górska przestraszała się tem niezmiernie. Każdy tedy, ile miał siły i zdrowia, wziąwszy torbę na ramię i włożywszy do niej nieco górskiej żywności, uciekał z domu i łączył się z towarzyszami, by ujść branki. Z początku, gdy każdy w torbie miał nieco żywności, to było jako tako — ale gdy tak kilka dni ciągle wypadało wędrować, to się i torby wypróżniły, i żywności zabrakło. Co tu było robić, aby głód żołądkowy zaspokoić? Głód to największy nieprzyjaciel. Z razu udawali się ci biedacy do zamożnych gazdów i baców z prośbą o posiłek, i takowy z początku dostawali; ale gdy tego za wiele było, a bacowie i gazdy żywności dać nie chcieli, zaczęli napadać zamożniejszych gospodarzy, i brali przemocą co im się udało; a za czasem niektórzy z nich stali się formalnymi rabusiami, czy-

li opryszkami. Takich to opryszków chwytano i osadzano na zamku Lanckorońskim, których załoga wojskowa strzegła. Śp. ojciec mój opowiadał: że jako kilkuletni chłopak nosił żywność na zamek dla żołnierzy, opryszków pilnujących. Opowiadał także, jakim sposobem wydobyli się opryszki z zamku. Otóż jęli się następującego wybiegu: Zaczęli oni w kaźniach śpiewać, gwizdać i tańczyć, z któremi to śpiewami oswoiwszy żołnierzy wzięli się do dzieła. I tak: gdy jedni śpiewali, gwizdali i skakali, drudzy na przemiany wybijali dziurę w murze. Łoskotu od wybijania murów żołnierze słyszeć nie mogli ani się o nim domyślali, bo go zagłuszały śpiewy i gwizdania towarzyszy — aż gdy już wyłom muru o tyle był wykonany, że się na dół można było spuścić, wtedy powoli jeden za drugim wysuwali się z kaźni, dopóki wszyscy z zamku nie wyszli. Potem nastąpiła cisza grobowa. — Żołnierze zdziwieni coby to miało znaczyć, że naraz ustały śpiewy i gwizdania więźniów, zaglądnęli do kaźni, lecz niestety żadnego z opryszków nie zastali. (Działo się to na kilka lat przed powstaniem Kościuszki). C. d. n.

Zabawne ale prawdziwe zdarzenie.

W Kamieńcu na Podolu mieszkał sobie chłopek ubogi. Nie umiał on ani czytać, ani pisać a o czarnych ludziach nigdy nie słyszał. Wiedział wszakże, że djabeł czarny, bo bo tak matka czy babka nauczyła. Gdy wskutek ukazu cara moskiewskiego, nie wolno było przyjmować Polaków do urzędów, na adwokatów, gdy biedny nawet kmiotek polski był uciśniony dla tego tylko, że Polak, że katolik, zdarzyło się wówczas, że ubogi wieśniak, wyżej wspomniony, otoczony dziatkami a niemogący utrzymać ani siebie, ani swe dziatki, udał się do popa i radził go się co ma począć, aby z głodu nie umrzeć. Rzecz prosta, że pop mu poradził, iżby przestał być katolikiem, bo to ukazem carskim zakazane. Z początku wahał się chłop a wreszcie dał się namówić na schizmę. Smutno mu wszakże było, że dla podłego zysku wyrzekł się wiary swoich praojców i choć materyalnie nie źle

mu się działo, ale za to duchownie źle, bo nigdy nie miał pokoju; robak sumienia ciągle go gryzł, nie mógł ani jeść, ani spać, a w nocy zdawało mu się, że go djabli chcą żywcem porwać; był więc nieszczęśliwy. Po kilku miesiącach tej ciągłej walki wewnętrznej, zdarzyło się, że jakiś bogaty kupiec przywiózł sobie murzyna z Afryki, ale już nawróconego. Miał on zwyczaj chodzić codzień na mszą świętą, a modlił się przez cały czas nabożeństwa klęcząc i ze wzniesionemi rękoma do góry. Chłopek niewierny nic o nim nie wiedział, bo mieszkał daleko na przedmieściu; nikt też mu o tem nie powiedział, że mogą być ludzie czarni na świecie, więc sobie trwał w swojej prostocie, która mu na dobre posłużyła; bo pewnego pięknego poranku z powodu jakiegoś odpustu katolickiego przybył do miasta i szedł wprost do katedry, spuściwszy ponuro głowę, że jako schizmatyk, nie będzie miał uczęstnictwa w odpustach katolickich.

Szedł ale nie uważał że tuż za nim szedł i murzyn, który był jednym tylko egzemplarzem na całe miasto, to też z początku był przedmiotem ciekawości pospólstwa, bo był czarny jak węgiel; ale jak wszystko, tak i murzyn był już spowszedniał w chwili, w której go opisujemy. Mało już kto zwracał na niego uwagę, kiedy obaj weszli do kościoła. Uklęknął chłop, przeżegnał się nie śmiało; uklęknął i murzyn, ale trafem zamyślony i zbiedzony chłop, jeszcze go nie spostrzegł, bo że ten klęczał z tyłu. Wtem ogląda się po za siebie. Widzi postać czarną i ręce podniesione do góry. Możecie sobie wyobrazić co się z nim działo. Nagle pobladł, a cały drzący od strachu, woła z przerażeniem: "djabeł!.... djabeł!.... djabeł!".... i pada omdlały, jakby nie żywy. Murzyn zdziwiony, bojąc się jakiej odpowiedzialności, ucieka a chłop ocucony i przyprowadzony do kapłana, jawnie oświadcza, że go djabeł chciał porwać, że przeto chce się jak najprędzej nawrócić. A wtedy kapłan mówi: a „widzisz niecnota! djabeł chciał cię porwać, jeśli się nie nawrócisz, to cię naprawdę porwie".

„Oj!.... oj!.... Panoczku!.... niech pan djabeł czeka.... ja chcę być dobrym.... chcę się nawrócić". Isto-

tnie: nazajutrz nasz poczciwy chłopek szczerze się nawrócił na łono kościoła katolickiego, i szczerze dziękował Bogu, że ten żart obrócił się dlań na zbawienny pożytek. Tak Pan Bóg używa rozmaitych sposobów, aby grzeszników nawrócić: upomina, strofuje przez sług swoich, a gdzie już słowo nie skutkuje, tam dziwnych na pozór, ale zbawiennych używa środków. O, jakże jest dziwny Pan Bóg we wszystkich sprawach swoich!

Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

Wypada teraz pomówić o chrzcie Konstantyna, o którym historycy są różnego zdania. Niektórzy mówią, że przy schyłku swego życia dopiero w Nikomedyi tamtejszy biskup Euzebiusz go ochrzcił i że wkrótce potem umarł. Inni zaś są tego zdania, że Konstantyn w 50 roku życia swego w Rzymie przez św. Sylwestra został ochrzconym w r. 324. Nie mamy zamiaru rozbierać tej kwestyi historycznej jako też innych, bo nie piszemy dla uczonych ale dla ludu i zawsze po tej stronie stoimy, którą uważamy za najwięcej ugruntowaną. Wspominamy jednak tu dla tego o tej kwestyi spornej, aby po zbadaniu wszystkich przyczyn oświadczyć się za zdaniem tych, którzy twierdzą, że Konstantyn w roku 324 w Rzymie przez św. Sylwestra ochrzconym został, co się sprzeciwia mniemaniu większej liczby nowszych historyków i niektórych starszych. Historycy ci mają tylko jedynego męża za sobą t.j. Euzebiusza z Cezarei, który się skłaniał do kacerstwa Ariusza, a więc interes w tem miał powiedzieć światu, iż cesarz Konstantyn przy końcu swego życia przez biskupa wyznającego kacerstwo Ariusza został ochrzconym. Wszystkie inne świadectwa o chrzcie Konstantyna na łożu śmiertelnem są oparte na świadectwie Euzebiusza, który był jedynym współczesnym pisarzem, który o tej rzeczy mówi. Nie będziemy się wdawać w dalsze roztrząsanie tej sprawy spornej, ale opowiemy, jak rzecz się miała z chrztem cesarza Konstantyna przez papieża Sylwestra wedle tradycyi rzymskiego ko-

ścioła. W rzymskim brewiarzu czytamy na dzień św. Sylwestra, jak on chrzcił cesarza Konstantyna, prócz tego na dzień poświęcenia kościoła pod wezwaniem Zbawiciela w Rzymie 9go listopada jest w brewiarzu rzymskim powiedziane, iż Konstantyn przez św. Sylwestra papieża został ochrzconym. Tak stoi w brewiarzu rzymskim: Ceremoniał, którego kościół rzymski przy poświęcaniu kościołów i ołtarzy używa, papież Sylwester pierwszy wprowadził. A chociaż już od czasów Apostolskich były miejsca Bogu poświęcone, które jedni nazywali domami modlitwy, inni kosciołami, w których ofiary zbierano i gdzie lud chrześciański zwykle się modlił, słowa bożego sluchał i Najświętszy Sakrament przyjmował, to jednak miejsca te nie były tak uroczyście poświęcane i nie budowano ołtarza osobnego, aby on przez namaszcze nie był obrazem Jezusa Chrystusa, który jest naszym ołtarzem, naszą ofiarą i naszym kapłanem. Ale gdy cesarz Konstantyn przez chrzest św. uzyskał zdrowie i zbawienie, ustanowił prawo dla całego świata, aby chrześcianie kościoły budowali, do czego ich napominał nietylko rozkazem, ale własnym przykładem, albowiem w swoim pałacu Lateraneńskim Zbawicielowi kościół ofiarował i wybudował bazylikę pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, w tem samem miejscu, gdzie sam przez św. Sylwestra został ochrzconym, który to kościół papież Sylwester 9 listopada poświęcił. Pamiątka tego poświęcenia do dziś dnia jest obchodzoną. W tym bowiem dniu poraz pierwszy w Rzymie kościół publicznie był poświęcony i na ścianie wymalowany obraz Zbawiciela ludowi rzymskiemu pokazano. Nie potrzeba się temu dziwić, iż w bazylice lateraneńskiej wystawiony jest drewniany ołtarz i że mimo to św. Sylwester później przy poświęcaniu ołtarza Apostołów wydał rozporządzenie, że na później wszystkie ołtarze mają być zrobione z kamieni. Bo ponieważ od św. Piotra aż do św. Sylwestra papieże dla prześladowania nie mogli mieć pewnego miejsca mieszkalnego, byli oni zmuszeni albo w jaskiniach albo na cmentarzach albo w domach pobożnych osób na drewnianym ołtarzu podobnym do arki mszą św. sprawować. Ten ołtarz św. Sylwester gdy Kościół był

wolny od prześladowania postawił w kościele lateraneńskim na cześć św. Piotra, który na tym ołtarzu mszą św. odprawiał i na cześć papieży innych, którzy aż do czasu św. Sylwestra tam najświętszą ofiarę sprawowali i rozkazał, aby potem żaden prócz papieży na tym ołtarzu mszy św. nie miewał. W tym samym roku, w którym Konstantyn w Rzymie był ochrzconym, św. Sylwester zwołał Concilium, na którem było 280 biskupów. Było to pierwsze po prześladowaniu Kościoła. Na tem concilium jak największa była miłość i jedność, a zgromadzeni biskupi wspólnie P. Bogu dziękowali i cesarzowi za szybkie rozwijanie się religii. Byli także obecni na tem koncilium cesarz z matką swoją Heleną i Kalfurnius, prefekt chrześciański miasta Rzymu; wszyscy siedzieli wedle porządku, kapłani, dyakoni i inni klerycy stali za siedzącymi biskupami. Pierwszy dekret tego koncilium ogłosił dyakona Hipolita za kacerza. Przeciwko Ariuszowi zdaje się nic nie uradzono. Ale za to wiele pożytecznych ustanowiono rozporządzeń, jak n.p. że święcenie chryzma należy wyłącznie do biskupów; stolica papieska od nikogo nie może być sądzoną. Prócz tego mniemają, iż papież i cesarz na tem koncilium umówili się, aby w następnym roku powszechne koncilium było zwołane w Nicei.

W tym samym czasie zdarzyło się, iż się zbliżał dzień, w którym w dawniejszych czasach cesarze z swą armię zwykli byli udawać się na Kapitol, aby tam cześć boską oddawać. Ale Konstantyn, który usilnie trzymał się chrześciaństwa, już tego zwyczaju pogańskiego nie chciał zachowywać i przezto nienawiść senatu na siebie ściągnął. Wtenczas to przyszła mu myśl, aby wybudować inne miasto, które w niczem nie miało Rzymowi ustępować. Obrał na to miejsce Byzancyum, które otoczył rozległemi murami i które nazwał Konstantynopolem. C. d. n.

Szanowny Redaktorze! — W jednym z ostatnich numerów Dnia Świętego wyczytałem powiastkę, którą mój kolega napisał. Zdziwiło mię to bardzo i pomyślałem sobie, jeżeli on mógł napisać, to ja też mogę, bo ja o jeden rok dłużej od niego do szkoły chodzę a przypomniała mi się powiastka, którą słyszałem od mego wuja, więc ą spisałem i przysyłam.

Piotr Woj......

MĄDRA KASIA.

W pewnej wsi, już tego nie pamiętam, gdzie leży i jak się nazywało to miejsce, dość na tem, że mieszkał szlachcic, — człowiek kochany od wszystkich. I nie dziw, że nieomal wszyscy byli przywiązani do niego jak do ojca, bo też każdemu doradził, w biedzie pomógł, w nieszczęściu poratował, słowem był dla swych poddanych i dla innych prawdziwym ojcem. Nieszczęście tylko było, że się nie zabierał do stanu małżeńskiego, lecz tak życie kawalerskie pędził. Mówili więc ludziska pomiędzy sobą: gdy nam ten umrze, a nie pozostawi żadnego potomstwa po sobie; pytanie kto zajmie jego miejsce? Może jakiego łotra dostaniemy, a tak kto w biedzie poradzi lub w smutku pocieszy? Niektórzy z starszych gospodarzy radzili mu, aby zmienił swój stan życia, ale on odpowiedział, że nie może wyszukać mądrej i roztropnej dziewczyny. Wreszcie próbował do niektórych, lecz odmówiły mu ręki, więc zaniechał wszystkiego. Miał on u siebie od dawnych lat starego ogrodnika, który miał jednę córkę; dorodną pannę, imieniem Kasia. Ta przystąpiwszy raz do ojca, rzekła: Tatulu! słyszałam, że nasz pan próbował do niektórych szlachcianek prosząc o rękę, lecz te mu odmówiły; otóż, gdy jutro rano pójdziecie do dworu, to powiedźcie panu, że ja go będę chciała. Ojciec zdziwiony zawołał: dziecko kochane! Czyż się tobie znowu w głowie przewróciło! Ty dziewczyna prosta bez nauki, córka biednego ogrodnika, wychowana na barszczu i kapuście a on jest pan, bogaty, dla niego szlachcianka a nie taka prosta dziewczyna jak ty. Ani mi o tem wspominaj, bo gdyby się pan dowiedział, to gotów by mnie był ze służby wydalić. Lecz Kasia nie dała sobie tego wybić z głowy. Powiedziała, że jeżeli tatulo panu tego nie powie, to ona sama pójdzie prosto do dworu i to panu oznajmi. Cóż więc ma robić biedny ojciec, postanowił bądź co bądź panu to powiedzieć. Jakoż na drugi dzień rano poszedł do dworu. Zobaczywszy pana, skrobał się biedaczysko w głowę, rumienił się i przygryzał wargi, aż się spocił; jednakże nabrał odwagi i wypowiedział całe oświadczenie się swej córki Kasi. Zdawało mu się, że ciężki kamień zwalił ze serca. Pan zaś wysłuchawszy uśmiechnął się serdecznie i rozkazał ogrodnikowi przyjść wieczorem do siebie.

Przez cały dzień biedny ogrodnik wzdychał i myślał, co też to z tego wypadnie. Pan mu kazał przyjść na wieczór do siebie, być może, że mi chce wypłacić i powiedzieć, abym się mu więcej na oczy nie pokazywał. Wieczorem po skończonej robocie poszedł do dworu nie spodziewając się usłyszeć nic dobrego. Za chwilę wychodzi pan a zobaczywszy ogrodnika rzecze: Czy twoja córka mówiła, że ona mię będzie chciała. Tak wielmożny panie! odrzekł zaambarasowany ogrodnik. Otóż! mówi pan dając mu trzy włosy wyrwane ze swej głowy, daj to twojej córce, aby z tego zrobiła płótna i uszyła mi koszulę do ślubu! Wziął to biedny ogrodnik i wyszedł a patrząc na to wzdychał i mówił sam do siebie: Czyż to podobieństwo, aby z trzech włosów można zrobić tyle płótna, coby panu na ślubną koszulę wystarczyło? Cóż tu teraz pocznie moja biedna Kasia? Tak narzekając przyszedł do domu a spotkawszy córkę na podwórku, rzekł do niej dając jej włosy: Zachciało ci się pańskich grymasów, oto masz trzy włosy, z których pan żąda, abyś utkała płótna, a potem z tego uszyła mu koszulę do ślubu!

Ej! nie kłopoćcie się tatulu, już ja sobie dam radę. Teraz idźcie do kolacyi, bo kartofle gdy wystygną nie będą smakowały. Bądźcie spokojni o mnie. Na drugi dzień gdy ojciec wychodził z domu, Kasia ułamała

trzy małe rózgi z miotły i dając je ojcu rzekła: Oddajcie to panu, tatulu i powiedźcie mu, aby z tego dał zrobić krosna, na których z tych włosów płótno będę tkała. Uśmiechnął się stary na taki koncept, a jeszcze bardziej się ucieszył potem, gdy oddając panu rózgi powiedział życzenie Kasi, a pan aż się zdumiał, że córka ogrodnika mogła się zdobyć na taką odpowiedź. Lecz zasmucił się znowu biedaczysko, bo mu pan powiedział, aby dzisiaj wieczorem wstąpił do dworu. Pan zaś wyszedłszy, wyniósł kilka gotowanych jaj i dając je ogrodnikowi rzekł: Daj to twojej córce i powiedz, niech to położy pod kurę, aby się z tego wylęgły kurczęta na nasze wesele.

Znowu posmutniał stary ojciec a wziąwszy gotowane jaja idąc do domu mruczał: Czyż z gotowanych jaj mogą się wylęgnąć kurczęta? Co też to za wymysły pańskie a na to wszystko ma moja biedna Kasia odpowiadać. Przyszedł do domu mruczał na dziewczynę więcej jak poprzednio, mówiąc, że tym pańskim wymysłom końca nie będzie i że gdy się jeszcze pan rozgniewa, to go ze służby wydali. Ale Kasia miała więcej odwagi. Uspokoiła ojca i mówiła, aby całą sprawę zdał na nią a ona już sobie da radę.

Nazajutrz, Kasia wzięła resztę z wczorajszej kaszy, która pozostała od kolacyi, a dając ojcu rzekła: Powiedźcie panu, niech to posieje, aby z tego wyrosło proso, żebym miała czem te kurczęta karmić.

Zrobił tak ojciec, jak mu córka poleciła; a pan się nie mógł wydziwić, że taka dziewczyna, chociaż nie uczona w szkołach a jednak potrafi tak mądrze odpowiadać. Tym razem już pan nie kazał przychodzić ogrodnikowi wieczorem do siebie. Snać więcej się zastanawiał nad mądrością Kasi; lecz za to na drugi dzień sam przywołał go do siebie i powiedział, że gotów jest przyjąć oświadczenie Kasi ale pod tym warunkiem, że ona sama jutro do niego przybędzie spełniając następujące warunki: Niby we dnie niby w nocy. Niby przyjdzie niby przyjedzie. Niby ubrana a nie ubraną. Podarunek mi jaki ofiaruje a nie ofiaruje. Ogrodnik aż oczy na wierzch wywalił jak cebule, tak mu się wszystko w głowie pomieszało. Zdawało się biedakowi, że go rozum odchodzi. Jednakże starał się wszystko spamiętać, aby to mógł Kasi powtórzyć. Przyszedłszy do domu zawołał Kasię na dwór a usiadłszy na tapczanie, najprzód zebrał myśli, aby którego z warunków podanych nie opuścił a potem tak zaczął powtarzać: Niby to tak niby inaczej i sam nie wiedział, jak to wszystko opowiadanie skończył, lecz Kasia, zrozumiała całe żądanie pańskie i pocieszała ojca, że to dla niej jest tylko mała bagatela; że nazajutrz ona to wszystko zrobi, tak jak sobie pan życzy. Jakoż na drugi dzień rano Kasia wstała, ubrała się w sieć rybacką, a tak ubrawszy się jednak nie była ubrana; gdy się rozwidnęło na Wschodzie wzięła ze sobą dwa gołąbki i wsiadłszy na małego baranka niby jadąc a jednak swemi nogami idąc po ziemi tak przywędrowała przed ganek. Gdy pan wyszedł ona dając mu swoje gołąbki jako podarek, puściła je w powietrze a tak wykonała wszystko, co pan żądał. Pan zaś wprowadził ją do pokoju i kazał ubrać modnie, a gdy ją zobaczył ubraną w piękne jedwabne suknie, tak mu się spodobała, że już się dłużej nie namyślał, ale czemprędzej dał na zapowiedzi. Wkrótce też nastąpiło wesele, na którem prawie cała gromada cieszyła się, i wydziwić się nie mogła, że to ich dziedzic zamiast wziąść sobie szlachciankę, on wybrał swego ogrodnika córkę. Po weselu długo sobie opowiadano o gogościnnen przyjęciu we dworze i o Kasi, która została panią. Nikt na nią nie patrzał krzywem okiem, bo się w krótce przekonali o jej dobroci. Gdyż lepsza okazywała się od samego pana.

(Dokończenie nast.)